

Irena SŁAWIŃSKA

## FORMACJA RELIGIJNA MŁODZIEŻY WILEŃSKIEJ W OKRESIE II RZECZYPOSPOLITEJ\*

*Stużba krajowi, stużba narodowi, ofiarność – były dla nas oczywistą wartością, nie pustym frazesem. Oczywistą – ale zrazu trudno przekładalną na konkret dnia codziennego, sprawdziła ją dopiero wojna.*

Temat tak rozległy wymagałby oczywiście poważnych studiów, ogarniających podręczniki szkolne, archiwalia kurialne, instrukcje dla katechetów, ówczesną prasę katolicką, dokumentację organizacji religijnych i wiele innych źródeł. Przekracza to moje możliwości, a nawet ambicje. Tekst ten ma więc raczej charakter gawędy wspomnieniowej, z której wyłonią się może pewne problemy do refleksji i dyskusji.

Podstawa źródłowa tej wypowiedzi? Z tej samej materii co sny, bo wspomnienia, moje i koleżanek. Ponadto duży rozdział z książki Czesława Miłosza pt. *Rodzina Europa* (Wychowanie katolickie), odpowiedzi na ankietę „Znaku” z r. 1957 pt. *Formacja katolicka w dwudziestoleciu* (głosy Gołubiewa, Turowicza, Swieżawskiego, Plezi, Zawieyskiego).

Jeszcze jedno ograniczenie wypada tu wymienić na wstępie: moje wspomnienia i refleksje dotyczą tylko młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej samego miasta Wilna, z pominięciem wsi okolicznych, o jeszcze bardziej zróżnicowanej strukturze narodowościowej i wyznaniowej.

Zróżnicowanie to było właściwe gimnazjom wileńskim, zwłaszcza państwowym: miałyśmy tu sporo koleżanek Żydówek, Tatarek, Karaimek, prawosławnych Białorusinek, protestantek. Oczywiście szkoły zakonne, nazaretanek i jezuitów, miały bardziej jednorodną populację. Istniało zazwyczaj naraz kilka lub nawet kilkanaście szkół żydowskich (z hebrajskim, polskim lub żydowskim – jidysz językiem wykładowym). Prócz tego gimnazjum rosyjskie im. A. Puszkina, seminarium białoruskie i gimnazjum litewskie im. Witolda Wielkiego. To ostatnie zrazu niewielkie, bo gromadzące tylko uczniów z samego Wilna, do r. 1939 rozrosło się znacznie dzięki napływowi młodzieży z okolic Święcian, nie dochodząc jednak nigdy liczby 300 uczniów.

Nie było to jednak najmniejsze gimnazjum: najliczniejsze gimnazja wileńskie nie przekraczały liczby 600 uczniów. Dopiero powojenna pedagogia

---

\*Tekst prelekcji wygłoszonej na Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej w Bydgoszczy i Białymstoku w listopadzie 1987 r.

czy administracja szkolna w Polsce utworzyła szkoły-giganty, szkoły-fabryki, gdzie żaden uczeń nie ma własnej ławki ani klasy, lecz wszyscy błakają się podczas pauzy po korytarzu wraz z całym swoim dobytkiem. Pierwsza moja wizyta w takiej szkole przyprawiła mnie o szok.

Pozostańmy na razie przy tej fazie naszej formacji, która przypadała na lata szkolne, ściślej: na osiem klas gimnazjum. Katecheza małych dzieci, np. przedszkolaków, nie była wówczas praktykowana. Wydawałaby się nawet absurdalnym pomysłem. Do komunii św. przystępowało się na ogół w gimnazjum, w wieku 11-12 lat (jako najmłodsza w klasie ja miałam wówczas lat 10). Przygotowanie odbywało się indywidualnie: my zawdzięczamy je mądrej i pobożnej pani Marii Jeleńskiej. Nie był to więc akt społeczny, ale nie stawał się też pokazem zagranicznej mody ani rewią kosztownych prezentów. Standardową pamiątką komunijną była książeczka do nabożeństwa albo obrazek, w wyjątkowych wypadkach – krzyżyk, jeśli go dzieci dotąd nie miały.

Lekcje religii towarzyszyły programowi szkolnemu przez całe osiem lat gimnazjum, a po reformie Jędrzejewiczowskiej – przez cztery lata gimnazjum i dwa liceum. Nie zmierzały, jak sędzę, do rozbudzenia pobożności, ale służyły celom poznawczym. Wprowadzano kolejno młodzież w doktrynę i historię Kościoła. (O pożytkach historycznych lekcji mówi z naciskiem Miłosz w *Rodzinnej Europie*). Ukazywały nam one i autorytet papieży, i okresy prześladowań Kościoła, np. w czasie rewolucji francuskiej (nienawidziłyśmy jej za to – wbrew entuzjastycznej prezentacji naszej historyczki). Przed wszystkim lekcje te – jak mówi Miłosz – budowały w nas „świadomość europejską”, poczucie wspólnoty i przynależności do wielkiej kultury i do Kościoła powszechnego.

Obszerny program obejmował też dogmatykę i apologetykę. I tu obowiązywała ścisła wiedza, np. w zakresie błędów uznanych przez Kościół za herezje. Niektóre herezje okazywały się fascynujące, np. metempsychoza, manicheizm, gnoza. Przydawała się ta wiedza przy trudniejszych lekturach (Dostojewski, a nawet Słowacki).

W długotrwałym i zaciekłym sporze ze swoim katechetą wymienia Miłosz różne peccata omissionis katechezy szkolnej, wśród nich przede wszystkim brak kontaktu z Pismem św., mszałem i liturgią. Mówi o swoim prefekcie – ks. Chomskim: „Gdyby poświęcił się czytaniu i komentowaniu Księgi Hioba, w ogóle lekturze ksiąg Starego Testamentu, mógłby nam wyjaśnić, jak cenny jest respekt dla tajemnicy. Mógłby nas pouczyć, że judaizm, w przeciwieństwie do swoich rywali w starożytności, z ich cykliczną wizją świata, ujmował stworzenie w ruchu, jako dialog, jako wyłanianie się ciągle modyfikowanych pytań i ciągle modyfikowanych odpowiedzi [...] i że tę właściwość odziedziczyło po nich chrześcijaństwo” (*Rodzinną Europą*, s. 72). Kontakt z Pismem św. Nowego Testamentu miał wkrótce się zrealizować, już na Uniwersytecie, podobnie jak i czynny udział w liturgii (msze św. recytowane). Oczywiście, program, przed chwilą wspomniany, każdy katecheta realizował swobodnie,

według własnego rozumienia i przygotowania, albo metodą wykładu, albo dyskusji i prowokowanych pytań. Świeży powiew wnieśli młodzi księża, wychowani już w Lublinie czy na Uniwersytecie Stefana Batorego.

Ominęliśmy, jak dotąd, najbardziej kontrowersyjny element naszego wychowania religijnego: aspekt etyczny. No, właśnie! Wprawdzie już w latach dwudziestych ukazywały się studia czy podręczniki etyki rektora A. Szymańskiego, o. J. Woronieckiego, a później – ks. E. Szwejnicca, ale – najpierw jednak o pozytywach tego wychowania.

Od dzieciństwa – wielka dyscyplina (okres pajdokracji nastąpił później), a więc etyka powściągów i wyrzeczeń. W hierarchii powinności – najpierw „obowiązki stanu”, dziecka rodziców i ucznia, stały najwyżej (z dalekim odniesieniem do naszej godności Polaka i katolika). W praktyce – najpierw odrobienie wszystkich lekcji, przed zabawą na podwórku czy indywidualną lekturą.

Ze ścian klasy mówiły do nas hasła: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi”. Także mądre przesłanie generałowej Zamoyskiej: „Cokolwiek robić warto, warto robić dobrze”. Jakże trudno nam teraz odzwyczaić się od ideału dobrej roboty – nie najszybciej wykonanej czy w największej ilości... Prymat obowiązku, pracy, dyscypliny przekazywali nam przede wszystkim wychowawcy starszego pokolenia, jak prof. Stanisław Kościałkowski, zaprzyjaźniony w młodości z Orzeszkową.

Służba krajowi, służba narodowi, ofiarność – były dla nas oczywistą wartością, nie pustym frazesem. Oczywistą – ale zrazu trudno przekładalną na konkret dnia codziennego. Sprawdziła ją dopiero wojna. Nasi rodzice oddawali swoje złote obrączki na FON (Fundusz Obrony Narodowej), my zaś angażowałyśmy się – w różnym charakterze – w służbę narodową: jako sanitariuszki, potem jako łączniczki AK, pracownice kontrwywiadu czy tajnego nauczania. Wiele moich koleżanek zapłaciło za to więzieniem i zesłaniem do obozów na dalekiej północy, na wiadomy Archipelag. Niektóre wróciły po 12 latach.

Do tych prób przygotowały nas – pośrednio – lekcje historii i nasze własne żarliwe lektury w Czytelni Zana. Rodziła się stąd wizja godnej Rzeczypospolitej, która miała wielkich mężów stanu: Skarga, Żółkiewski, Czarniecki, a przede wszystkim utrwalony wizją Wyspiańskiego – Walerian Łukasiński, męczennik narodowy, arcymodel ofiarności. Rocznicę powstań narodowych, zwłaszcza powstania styczniowego (którego żywe pomniki były wśród nas) – wplatały się w nasz kalendarz liturgiczny.

Dopiero wraz z reformami Jędrzejewiczów, a więc po 1932 r., zaprogramowano „wychowanie obywatelskie”. Straciło ono już religijny i etyczny wymiar: „Straż Przednia” stała się zlaicyzowaną wersją harcerstwa czy jego kontrpartnerem. „Myślenie państwowe” miało nasycić cały proces dydaktyczny. Wiemy, jakim spustoszeniem to zagraża!

Nie bez zdziwienia stwierdzam dziś sama, że w naszym tak bardzo materialnie ubogim życiu rodzin albo dopiero przybyłych z Rosji, albo powracających z Pomorza czy z innych stron – tak mało ważyła troska o zdobywanie dóbr tego świata! A przecież żyliśmy w biedzie, absolutnie nieporównywalnej do standardu dzisiejszych tzw. niezamożnych rodzin. Masło na stole – dość rzadko, szynka – parę razy do roku. Żadnych inwestycji, żadnego parcia do wzbogacenia się. Terminy: „nuworysze”, „arrywiści” miały wciąż odcień pogardy, podczas gdy termin: „nuwopowry” miał odcień żartobliwy, ale pozytywny. Do tej klasy właśnie należeliśmy.

Nie znaleźliśmy oczywiście opozycji: être-avoir, ale na pewno zespół wartości konstytuujących osobę ludzką i jej wyposażenie duchowe i intelektualne był, w atmosferze naszej szkoły i naszego środowiska, w daleko większej cenie.

Skąd natomiast obłędny horror, strach przed wszystkim, co ma związek z płcią? Skąd przekonanie, że w tej dziedzinie nie ma grzechów lekkich, tylko śmiertelne? Że każdy pocałunek wydziela zapach siarki piekielnej? Niejedna matka pouczała swoje córki, że każdy akt seksualny, nawet w małżeństwie, to akt „ohydny i hańbiący”. Nietrudno sobie przedstawić skutki takich pouczeń: pogarda dla życia małżeńskiego i rodzinnego, a nawet w ogóle dla miłości. Sprawy te kryła zresztą strefa milczenia, to tabu, o którym dziewczyna powinna dowiedzieć się dopiero po ślubie.

Jak te metody wychowawcze współistniały ze znanym przecież wyuzdaniem obyczajowym tej epoki, propagowanym przez kabarety, frywolne piosenki, prasę – no, i teorie „życia ułatwionego”, pod patronatem takich nazwisk, jak Irena Krzywicka i Tadeusz Boy-Żeleński? Co prawda, my w Wilnie byliśmy od tych wpływów dość izolowane, docierały jednak do nas, przez radio i z płyt, owe piosenki, tańczyliśmy tango w kasynie z oficerami czy na prywatkach. Obie – skrajnie opozycyjne – wersje życia erotycznego niweczyły szacunek dla miłości, utrudniały czy uniemożliwiały jej piękne, radosne i czyste przeżycie. Okradły wiele spośród nas z takiej szansy. Czy nie spowodowały też rozpadu wielu małżeństw?

Dorośle już, żartowałyśmy z naszej Mamy i jej kodeksu moralnego: „Dla Maman największym grzechem jest pocałunek, potem długo, długo nic, a wreszcie drobne grzeszki, jak np. morderstwo z premedytacją”. To naturalnie żart. Ale w poważniejszej tonacji mogłyśmy inaczej dokończyć: „[...] drobne grzeszki, jak np. upokorzenie bliźniego czy zniesławienie”.

Oczywiście, rygoryzm w tej dziedzinie dotyczył tylko kobiet. Dla mężczyzn opinia publiczna była nader pobłażliwa.

W powietrzu zaś krążyło wezwanie do pełni życia (tytuł bardzo popularnej wówczas książki F. Harrisa), hasło „probare omnia” (wypisywałam je sobie w dzienniczku). Jak mieliśmy dokonywać wyborów, „słyszac naokoło: doświadczaj, poznawaj, ośmielaj się, bądź wolny od winy i grzechu” (Miłosz).

Iluż szalonych chłopaków z Wilna wyruszyło w daleki świat w pogoni za pełnią życia! Wacław Korabiewicz – kajakiem do Stambułu, Karol Borchard – na dalekie morza (*Znaczy kapitan*). Czy surowa dyscyplina, etyka powściągów i wyrzeczeń – nie musiała przegrać w zapasach z namiętą pasją poznania, sprawdzenia się, przygody? Na pozór – incompatibilia. A jednak... Jednak niektórym spośród nas chyba udało się przeżyć młodość w Wilnie chłonąc wszystkie uroki tej krainy na nartach, żaglach, kajakach, konno, w pieszych włóczęgach z przyjaciółmi... Namiętności tej towarzyszył zaś nie mniej potężny głód poznania i twórczości, sprawdzenia własnych sił i możliwości, wczesnego startu, naukowego i literackiego.

Czy to wystarcza do samorealizacji, do dojrzewania? Nie – czułam to dobrze. Potrzebny był jeszcze inny skok, choć zbliżony do tego, którym odbijałam się od trampoliny. Również – głową w dół. W skoku tym pomogło mi grono przyjaciół ze stowarzyszenia *Iuventus Christiana*.

Stowarzyszenia katolickie na uczelniach wyższych miały status organizacji uniwersyteckich, nie kościelnych, podlegały Senatowi i rektorowi, w przeciwieństwie do Sodalicji, zawsze zależnej od Hierarchii. Dwa stowarzyszenia odegrały na uczelniach wyższych II Rzeczypospolitej rolę szczególnie doniosłą: *Odrodzenie* i *Iuventus Christiana*, oba bardzo liczne i na wszystkich uczelniach reprezentowane. Pierwsze z wymienionych ma już swoją monografię (autor: Konstanty Turowski, wyd. ODiSS). Drugie – *Iuventus* – tylko bardzo bogatą dokumentację. Wspólny program obu organizacji, bardzo czynnych i w Wilnie, obejmował udział w liturgii (msze św. recytowane, naturalnie po łacinie, którą wszyscy znaliśmy dobrze ze szkoły), rekolekcje zamknięte (zazwyczaj wyjazdowe, tygodniowe i milczące) oraz program intensywnego samokształcenia: lektury, w dużej mierze francuskie, prezentowano na zebraniach.

Nową propozycją *Iuventus* stało się obcowanie z Pismem św. Nowego Testamentu: cotygodniowe zebranie rozpoczynał komentarz wybranego tekstu, przygotowywany kolejno przez członków Koła (organizacja pracowała w małych, kilkunastoosobowych Kołach), po czym następowała dyskusja, a w drugiej części – referowanie ostatnich lektur, przede wszystkim z zakresu eseistyki filozoficznej i religijnej.

Za rewolucyjną (i zrazu bardzo gorszącą) nowość uznano letnie obozy, pod namiotami, naturalnie koedukacyjne, bo taki był charakter obu organizacji. Założyciel *Iuventus* i inicjator tych całomiesięcznych obozów szkoleniowych musiał dzielnie odierać podejrzenia i ataki. Ale ks. Edward Szwejnic, bo o nim mowa, pierwszy duszpasterz i rektor Kościoła Akademickiego w Warszawie, miał dosyć odwagi i autorytetu, by tę batalię wygrać. Opiekunem *Iuventus* wileńskiego (z tytułem doradcy) stał się ks. Henryk Hlebowicz.

Wszystkie organizacje katolickie na uniwersytetach stanęły przed problemem zaangażowania w pracę społeczną. *Odrodzenie* podjęło się opracowania doktryny społecznej Kościoła. Przedyskutowaniu tej problematyki służy-

ły doroczne „Tygodnie Społeczne”, organizowane z reguły w Lublinie, gdzie również działało dynamiczne grono. Wileńską grupę Odrodzenia fascynowały modele wschodnie. Na tym tle doszło do rozłamu: tzw. grupa Dembińskiego z Wilna opuściła organizację.

Ale większość młodzieży odczuwała potrzebę bezpośredniego kontaktu z człowiekiem potrzebującym pomocy. Dawne formuły filantropijne były naturalnie nie do przyjęcia, odpychały nas. Wiedzieliśmy, że trzeba tych ludzi odnaleźć, iść do nich, wypracować jakiś model obecności wśród nich. W Warszawie, przy Kościele Akademickim czy przy Duszpasterstwie Akademickim (*avant la lettre*), powstał wspaniały ruch społeczny Pom-Bli (Pomoc Bliźniemu), w którym studenci stali się podmiotami, a nie przedmiotami działań społecznych. W Wilnie zrodził się Akademicki Czyn Społeczny. Prowadziliśmy Świetlicę-Klub dla Uliczników. Szalona to była impreza i niezbyt udana, mimo wielkiego wkładu czasu, energii i naszych własnych, zarobionych korepetycjami pieniędzy. Druga inicjatywa miała skromniejszą i bardziej tradycyjną formę: wzięliśmy pod opiekę najuboższy szpital Wilna, żydowski szpital, gdzie samotne i stare kobiety potrzebowały po prostu rozmowy, książek, drobnych posług. To jakoś lepiej potrafiliśmy robić.

Wreszcie przyszło zaangażowanie, w które rzuciliśmy się z entuzjazmem. To było właśnie to: forma działania i apostolatu dla nas (*in spe*) intelektualistów katolickich: własne pismo. Już nie organ jednej organizacji, ale Porozumienia Akademickich Katolickich Stowarzyszeń (PAKS). Nazwane zostało więc Paxem. Przedstawiał je ambitny podtytuł-zawołanie bojowe: „O chrześcijańską kulturę jutra”. Hasło – chyba autorstwa Jerzego Turowicza, który opublikował broszurę pod takim tytułem.

Pismo było bojowe, nawet agresywne: rozpierała nas pewność, że to właśnie my, młodzież, budujemy jutro kultury chrześcijańskiej w Polsce. Najstarsza gwardia dochodziła do lub osiągnęła 25 lat: S. Stomma, A. Gołubiew, Cz. Zgorzelski, reszta zbliżała się do dwudziestki. Z pismem współpracowali od razu J. Turowicz i S. Swieżawski. Nietrudno w tym dostrzec prototyp późniejszego „Tygodnika Powszechnego”.

Warto dodać, że na terenie uczelni wyższych istniało sporo czasopism studenckich o różnym charakterze, także reprezentujących poszczególne organizacje katolickie („Prąd”, „Juventus Christiana”, „Nurty” – na KUL-u), a nawet pismo informujące o życiu różnych stowarzyszeń („Młodzież Katolicka”), żadne z nich jednak nie mogło się mierzyć z „Paxem” w zakresie bogactwa problematyki i dynamiki. Wreszcie powstały – już w latach trzydziestych – dwa pisma o bardzo wysokim poziomie, wspierane znakomitymi piórami: „Verbum” w Laskach i „Kultura” w Poznaniu. Wymieniam tylko zjawiska nowe, stymulujące.

Zatrzymało nas tu dłużej pytanie, które każdy z nas musiał sobie wówczas postawić: jak mamy realizować swoje powołanie? Jak służyć kulturze chrześcijańskiej i Kościołowi? Jak służbę tę zintegrować z własną pracą za-

wodową? Nazwalibyśmy to dziś problemem laikatu i jego miejsca w Kościele powszechnym.

Prasa katolicka – to było jedno z rozwiązań, wyraziście się rysujące. Czy i kto z nas przebija się jako publicysta? jako pisarz? jako pracownik naukowy? Jeśli dziś młodzież narzeka na brak perspektyw – wówczas były one znacznie mglistsze. Na przykład w zakresie możliwości uzyskania etatu asystenta na uniwersytecie. Na licznej przeciw polonistyce wileńskiej, przy wszystkich katedrach literackich łącznie – dwa etaty, od wieków zajęte (nie było rotacji). Do pracy nauczycielskiej trzeba się było przygotować przez dwuletnią bezpłatną praktykę, do pracy w bibliotece naukowej – przez roczną praktykę, również bezpłatną, bez żadnej gwarancji zatrudnienia. Szanse były więc nikłe. przy wszystkich wyróżnieniach, stypendiach doktorskich itp.

Jeszcze jeden problem moralny, już innej natury, domagał się odpowiedzi, zajęcia stanowiska: problem tzw. mniejszości narodowych, choć kategorie te i wówczas były wielu z nas całkowicie obce. Jednoznacznym oburzeniem zareagowaliśmy (nie w imieniu całej młodzieży akademickiej to mówię) na getto ławkowe. Nigdy nie było go na polonistyce USB – zresztą i obaj profesorowie, Manfred Kridl i Konrad Górski, dali temu zdecydowany odpór. Serdeczne przyjaźnie wiązały nas również często z koleżankami Litwinkami, Białorusinkami i Żydówkami – zresztą i te rozróżnienia były nam obce.

Nierozwiązalną trudnością były natomiast uczuciowe związki między partnerami przynależnymi do różnych wyznań, nawet chrześcijańskich. Arcybiskup Jałbrzykowski nie pozwalał na ślub z prawosławnym, nie mówiąc już o małżeństwie z mahometanką-Tatarką. A przecież zmiana wyznania, porzucenie wiary domu rodzinnego pociągało nieraz tak bolesne rozdarcia, że w wielu wypadkach trzeba się było raczej wyrzec miłości i małżeństwa.

Nie różnice etniczne czy wyznaniowe sprawiły, że niektóre gorące przyjaźnie rozprzęgły się, a w pewnych wypadkach należało zrezygnować z wszelkich kontaktów. Zdecydowały o tym wybory – nie polityczne, lecz moralne: decyzja o współudziale w niszczeniu kultury oraz niezbywalnych praw człowieka czy też o obronie tych praw i budowaniu kultury na innych przesłankach opartej.

W naszej formacji niezwykła rola przypadła książkom. Lektura była najdosłowniej – naszą drogą. Nie rozstawaliśmy się z książką: towarzyszyła nam wszędzie – na wakacjach, na wycieczkach, na wizytach. Nałóg czytania rodził się i utrwał w domu. Najpierw – i przez długie lata – matka czytała dzieciom, potem lektura stawała się elementem świątecznych popołudni, wreszcie czytałyśmy same. Uczono mnie od początku szacunku do książki: przy czytaniu obowiązywała wyprostowana postawa, bez opierania się o krzesło czy fotel. Lektura na łóżku czy na kanapie była zakazana. Dyscyplinę tę rozluźniały trochę wakacje, zwłaszcza pobyt na koloniach, gdzie czytało się również godzinami (co najmniej 4-5 godzin dziennie, cały czas wolny), ale w ogrodzie, pod drzewem. Na szczęście nigdy nie czytałam głupstw, przeważ-

nie wielką klasykę światową, a od trzynastego roku życia literaturę francuską w oryginale. To tam, nad Wilią, poznałam *Nad Niemnem*, *Pamiętniki Wacławy*, prawie całą Orzeszkową, potem powieści Żeromskiego, Manna, Conrada, wreszcie Mauriaca. Tam opłakałam tajemnicę Iwona Frontenac, przygarbiając do serca jego samotność („odnowię zawsze samotność dokoła ciebie”).

W 1951 r. „Znak” rozpiisał pierwszą ankietę, pytając: „Jakie książki ostatniego stulecia odegrały decydującą rolę w ukształtowaniu mego poglądu na świat oraz postawy moralnej”? Respondentami stali się przeważnie ludzie mego pokolenia lub o kilka lat starsi, których młodość przypadła jednak na okres II Rzeczypospolitej. Okazało się, że wykarmiła nas przede wszystkim literatura francuska: Maritain (*Religia i kultura*, *Humanizm integralny*), Gilson, a w zakresie powieści o problematyce religijnej – Mauriac i Bernanos (*Pod słońcem szatana*, *Radość*). Fascynował nas również Chesterton, bardzo przed wojną popularny, świetny w swojej dowcipnej, paradoksalnej apologii chrześcijaństwa.

Gorzkiej prawdy o kobiecie uczyła Sigrid Undset, jak i później Gertruda von Le Fort – dwie wspaniałe pisarki, ukazujące dojrzewanie człowieka do prawdziwego chrześcijaństwa. Ale i nasze polskie autorki, najpierw Kossak-Szczucka, a potem Malewska odślaniały podobnie rozległe horyzonty. Postawy moralne kształtował też na pewno Conrad, a zasięgu jego oddziaływania nie sposób przecenić. Twórczość jego uczyła lojalności, wierności, męstwa, cnót wielce chrześcijańskich przecież, choć nieraz przebranych w cywilne imiona. Już przed wojną rodziła się też i zyskiwała popularność eseistyka religijna, zrazu przeważnie obca, ale wkrótce i naszej rodzimej proweniencji. Do szczególnie popularnych pozycji należały *Światła tajemnic* Sz. Jeleńskiego.

Wreszcie, last but not least, wypada wspomnieć o oddziaływaniu pięknych osobowości wileńskich na nasze dojrzewanie. W naszym światku postaci takich nie brakło, warto jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie to cechy i wartości decydowały o ich autorytecie. Przede wszystkim prof. Stanisław Kościałkowski, „Jezusik”, wspaniały wychowawca młodzieży, „najpromienistszy”, wcielenie dobroci i pokory. To właśnie fascynowało w nim najbardziej: pokora i ewangeliczne ubóstwo, które dyskretnie praktykował, poświęcając gros swoich dochodów na pomoc dla młodzieży. Podobnie rygorystyczne ubóstwo zachowywał i ks. prof. Leon Puciata. Biskup Łoziński zapytywany, dlaczego jeździ trzecią klasą, zwykł odpowiadać: „Bo nie ma czwartej”. Nigdy po wojnie nie zdarzyło mi się żyć wśród ludzi tak świadomie i konsekwentnie praktykujących wyrzeczenie i ubóstwo.

Wielkim autorytetem, naukowym i moralnym, cieszył się też nieugięty, nieustraszony, niepodległy żadnym wyrachowaniom i ambicjom prof. Marian Zdziechowski. Także i Henryk Elzenberg oraz Manfred Kridl, autentycznie pokorny, choć równocześnie tak śmiały w swoim nowatorstwie.

Ale surową dyscyplinę w całym swoim życiu reprezentował także arcybiskup Jałbrzykowski, codziennie od szóstej rano dostępny w katedrze dla



wszystkich, choć niepopularny na ogół wśród młodych księży. Studenci nie oblegali jego konfesjonału, wiedzieli jednak, że dom arcybiskupa jest dla nich zawsze otwarty. Jako studentka, byłam tam wielokrotnie na herbatce, pączkach – i rozmowie.

Pokora, życzliwość, wyrzeczenie, ubóstwo – wydaje się, że ten zestaw wartości składał się na model chrześcijanina, najbardziej czczony u nas, w Wilnie. Nie sposób pominąć i „wielkich dam” Wilna, benefaktorek młodzieży szkolnej i akademickiej, takich jak Maria Mieczysława Jeleńska i margrabina Umiastowska. Ta ostatnia rozdała swoje majątki jako obiekty na kolonie letnie dla młodzieży szkół średnich, zaś wielkie dobra Żemłosław dostały się w darze Wydziałowi Rolnemu Uniwersytetu Stefana Batorego. Wiadomo było, jak surowe życie prowadziły obie panie, odmawiając sobie wszystkiego, co wykraczało poza bardzo skromny standard.

Na koniec niech przywołane będzie nazwisko księdza, którego legenda wciąż rośnie i zatacza coraz szersze kręgi. To ks. prof. Henryk Hlebowicz, rzeczywisty, choć może bez formalnej nominacji, duszpasterz akademicki USB, doradca i współzałożyciel Iuventus Christiana. Gwałtownik Boży, swoją rewolucyjną postawą poprzewracał różne zakazy i tabu, przyjaźnił się z „niewiernymi”, zawsze ufny w dobrą wolę człowieka i możliwość nawrócenia. Zginął na Białorusi, nie wiedzieć z czyjej ręki, bardzo jeszcze młody (ale wizja ks. Henryka spokojnego staruszka jest w ogóle niemożliwa). Jak błyskawica przemknął przez naszą młodość i zgasł z nią razem. Skąd ta dzisiejsza fascynacja postacią ks. Henryka? Czy dzisiejsza generacja widzi w nim model tych wszystkich dynamicznych duszpasterzy, którzy prowadzą młodzież na pielgrzymki, ale i w Tatry, pod żagle, na kajaki?

\*

I ty, wilnianko, ani słowa dotąd o Ostrobramskiej Pani? Czy nie pod Jej opieką minęło twoje dzieciństwo? Czy nie chroniła ciebie w latach wojny? Czy rytm Godzinek nie został ci we krwi?

Niełatwo to zwerbalizować. Strzegła miasta i mojej młodości. Do Niej biegłam w trudnych chwilach. „Monstra te matrem nostram esse” – pisałam, szesnastoletnia. Na Jej ręce kierowałam do Boga zrozczone prośby w tragiczne dni Września, dziękując Bogu, że prof. Zdziechowski nie żyje i prosząc o czyjąś śmierć.

Kto z nas dochował zawartego z Nią przymierza? I co zdołaliśmy przekazać młodszemu, sami przecież niewierni?